

MOJE DZIEDZICTWO, MOJA PODRÓŻ, MÓJ PRZEMYSŁ

Opowieść z głębi drugiego pokolenia

W ubiegłym roku, od czerwca do listopada, ja, Ania Bień, Amerykanka i Holenderka, urodzona w Krakowie w 1946 roku, przebywałam w Przemyślu. Mój pobyt w tym mieście przydarzył się przypadkowo, decyzję podjęłam bez głębszego zastanowienia.

Po zakończeniu konferencji w Rzeszowie „Historia Żydów w Galicji” nie mogłam sobie odmówić podróży do Przemyśla, tak blisko położonego od Rzeszowa miasta, w którym urodził się mój ojciec i w którym nasza rodzina mieszkała przez wieki. (W przemyskim archiwum odnalazłam dawną krewną, Sarah Bien, która tam wyszła za mąż w roku 1790).

Po prostu poczułam głęboką potrzebę pójścia na żydowski cmentarz w Przemyślu i zaświecenia tam zniczy na grobie mojego dziadka Chaima Bien (19.4.37) i babci Racheli Bien, z domu Silber (4.03.43). Na jej „matzewie” (po Hebrajsku kamień grobowy) są także wyryte imiona i nazwiska ich trzech córek i jednego syna z całą rodziną, którzy zostali wywiezieni i gdzieś zamordowani podczas II wojny światowej. Ponieważ nasza rodzina, tak jak wiele rodzin po wojnie, została rozproszona po całym świecie, a ja nagle znalazłam się tak blisko moich przemyskich korzeni, zdecydowałam się bardzo impulsywnie na tę podróż.

Mój dziadek, dzięki Bogu, umarł przed wojną, ale babcia Rachela zmarła już w przemyskim getcie. Mój ojciec, Samek, razem ze swoim bratem Mackiem, którzy także byli zmuszeni do pobytu w getcie, dostali rozkaz od niemieckich władz, by wynieść i pochować jej zwłoki na żydowskim cmentarzu. Niemcy bardzo troszczyli się o swoich żołnierzy, aby nie zarazili się i nie umarli na zakaźne choroby przenoszone przez ciała umarłych. Dopiero po wojnie mój ojciec był w stanie postawić kamień grobowy dla swojej matki.

Przyjazd do Przemyśla i spacerowanie wzdłuż Sanu po śladach mojej rodziny, miało dla mnie tak głębokie znaczenie, że nagle i niespodzianie znalazłam się tutaj, w tym pięknie i romantycznie położonym mieście nad Sanem.

Zdawało mi się, że oprócz zniczy i cmentarza nie miałam nic więcej na głowie. Ale na pewno prowadziły mnie moje podświadome uczucia i myśli, moje poczucie głębokiego przywiązania do Świętej Pamięci mojego ojca i do opowiadań o przedwojennym życiu jego dużej rodziny. Chciałam odkryć i dotknąć moich najgłębszych polskich korzeni, które straciłam mając jedenaście lat. To było właśnie w tym pięknym Przemyślu, w którym żyli dawno temu moi przodkowie, w którym znaleźli pracę, budowali domy i kamienice, tworzyli rodziny, zakładali swoje firmy produkujące materiały budowlane i zapewniali pracę wielu mieszkańcom miasta.

Moje wędrówki po Przemyślu przez te następne miesiące prowadziły mnie placami i uliczkami, które teraz i na zawsze będę miała wyryte w pamięci. Gdy tylko zamykam oczy, jestem znowu na Jagiellońskiej, Mickiewicza, Dworskiego i Wilsona, na Tatarskiej, Rakoczego, Grunwaldzkiej i na Zamku Kazimierzowskim albo Rynku.

W czasie mojego pobytu w Przemyślu, na początku moje myśli były słoneczne – zapewne pod wpływem pogody i letniego okresu. Jednak im bardziej czas się posuwał, tym bardziej rozumiałam i także odczuwałam tę wielką stratę, której wszyscy przemyslanie doświadczyli, którą do dzisiaj na jakimś poziomie odczuwają, a która najbardziej dotknęła ich żydowskich sąsiadów, znajomych i przyjaciół. No i moją rodzinę. Tę stratę dalej widzi się na śladach ran, na bliźnach budynków do dzisiaj nie odnowionych - ją się widzi i czuje wszędzie, w tym pięknym mieście, lecz tak tragicznie położonym na skrzyżowaniu trzech wielkich mocarstw i ich mocy. Ją się czuje i rozumie w samym

podejściu jego mieszkańców, którzy bardzo ostrożnie albo nawet niechętnie wdawali się w poważne rozmowy ze mną - obcą, zagraniczną kobietą, która jednak, dzięki tym dwóm grobom, ma także swoje prawo do tego miasta i jego historii. Mój słoneczny, radosny nastrój zaczął się z czasem zmieniać na bolesny.

I, naturalnie, im więcej czasu upływało, tym głębiej i bardziej rozumiałam samą siebie. Na początku byłam szczęśliwa – uszczęśliwiała mnie otaczająca piękna architektura i natura oraz możliwość rozmawiania z innymi tym pięknym językiem mojego dzieciństwa, językiem który brzmiał w moich uszach jak muzyka, ze słowami które określały moje najgłębsze myśli i uczucia precyzyjniej niż jakikolwiek inny język. Dziecięce głosy były dla mnie jak ćwierkanie ptaszków. Może to było naiwne z mojej strony, ale nie spodziewałam się, że tak szybko poczuję się głęboko związana z tym miastem, nawet w nim zakochana i że już nie będę w stanie tak po prostu, łatwo się od niego oderwać. Nie podejrzewałam, że będzie mi tak bardzo trudno wyrwać te świeże korzenie i powrócić do mojej codzienności w Holandii, w Amsterdamie. Również „spotkanie” z dawną fabryką mojego ojca na ul. Wilsona, ze śladami tych wojennych ulic w dawnym getcie, z ulicą Kopernika, gdzie moi bliscy się ukrywali, ze stacją Bakończyce, z której pociągi wywoziły Żydów (między innymi moją rodzinę) do obozów śmierci, związały mnie jeszcze bardziej z tym miastem. Tak jak Kafka kiedyś pisał, że nie może się wyzwolić z Pragi, tak ja czułam się pochłonięta przez Przemyśl.

Pięć miesięcy przeminęło nim uświadomiłam sobie, że moje życie jednak nie może toczyć się dalej w tym mieście, i że będę musiała się wyzwolić z jego czarów i szponów. Pięć miesięcy przeleciało mi także w pewnej samotności, w poszukiwaniu „mojego miejsca”, „mojego kraju”, mojej straconej Ojczyzny. Lecz w końcu zrozumiałam, że ona, ta „moja Galicja”, przestała już istnieć od czasu II wojny światowej. Jej śladów, które jeszcze pozostały, nie udało mi się połączyć, skupić razem w coś wiecznego i konkretnego, a nie tylko tymczasowego.

Dopiero wtedy, gdy pierwsze oznaki nadchodzącej zimy pokazały się na pochmurnym niebie i gołych gałęziach, zrozumiałam, że nadszedł czas aby się pozbierać do wyjazdu. Za sobą miałam pięć miesięcy, czyli prawie pół roku w Polsce. To całe lato i część jesieni. Moja głowa i serce były przepełnione. Mój pokój w Hotelu Accademia przekształcił się w studio, w galerię sztuki, w centrum informacji kulturalnej o Przemyślu i jego otoczeniu, o jego Żydach, którzy tu mieszkali prawie siedemset lat. Pokój został przepełniony książkami, kolekcją przedmiotów zebranych na giełdach oraz wrażeniami ściągniętymi z murów, ścian i chodników. Zdałam sobie sprawę, że ta kopalnia informacji nigdy nie będzie wyczerpana i zrozumiałam, że to, co tutaj przeżyłam i zgromadziłam jest wystarczające, że nadszedł czas na zerwanie tego łańcucha, który przykuwał mnie do tego miasta – miasta, którego fundamenty były podzielone, zniszczone, rozszarpane, pokrwawione przez walki i okupację; miasta które pokochałam, które dzisiaj znowu jest Polskim, ale które tak jak ja, dalej szuka swojej tożsamości w tych pozostałych pamiątkach i relikwiach.

Nawet dzisiaj, w styczniu 2018 roku, jak przymykam oczy, to jest mi trudno nie myśleć o Przemyślu, o jego skomplikowanej historii, której ja także jestem „produktem”. W holu mojego mieszkania stoi wysoka, duża, wynosząca półtora metra kwadratowego paczka, a w moim studio jeszcze dwie mniejsze. Zostały wysłane z Przemyśla i do dzisiaj nie są rozpakowane. Zachowałam w nich „pamiątki”, za którymi przeszukiwałam giełdy, rynki, sklepiki i księgarnie. Są one na razie bezpiecznie ukryte. Czekają na dzień, kiedy znowu zobaczą dzienne światło - gdzieś w innym świecie, w innym kontekście wyświetlą swoje zachowane tajemnice, swoje skarby schowanych pamiątek.

Na tej dużej paczce stoi mój aparat fotograficzny, w którym chowają się setki zdjęć. Te zdjęcia także odzwierciedlają moje przemyskie wspomnienia, myśli, zapachy, kolory, marzenia i koszmary.

Kilkoma z nich chcę się z Wami podzielić. Nie są to typowe zdjęcia turystów zwiedzających Przemyśl. Ta paczka i ten aparat tworzą razem moja „puszkę Pandory”. Na chwilę podnoszę jej przykrywkę i ... wiecie co widzę? Co my razem widzimy? Popatrzmy ...



Widok na Przemyśl z ulicy Rakoczego, gdzie dawniej znajdował się stary żydowski cmentarz i żydowski szpital, którego budynki były poświęcone – przeznaczone do opieki nad członkami żydowskiej gminy. Żeby się znaleźć na tym pagórku, musimy się wspinać z Rynku aż do samej góry. Kierujemy się krętymi i wąskimi uliczkami, dawniej przepełnionymi żydowskimi rodzinami, ich głosami, dźwiękami, muzyką i modlitwami.

Wyżej, ponad starymi średniowiecznymi murami, mijamy ulicę Tatarską, gdzie dwoje dzieci - siostry Podgórskie, ukrywały i uratowały swoich żydowskich sąsiadów i wreszcie, docieramy do tego, z jednej strony, pustego pola.



Nad tym polem czuwa tylko zniszczona kamienna brama, dalej stojąca, choć nikt nie wie na jak długo jeszcze. Panuje ona nad całym miastem z jego 23 kościołami i o każdej porze bijącymi dzwonami. Uważa ona na te, przez wieki tam zebrane, dla nas niewidzialne, przezroczyście dusze. Patrzy się swoim jedynym, pustym okiem - tragiczna kaleka pozostawiona i zapomniana przez wszystkich, ta wejściowa brama prowadząca dzisiaj do niczego, do tej surrealistycznej pustki. Droga prowadząca do niej jest pokaleczona gruzem, kamieniami i dziurami. Nie mam pojęcia czy była ona kiedykolwiek wyścielona brukiem lub asfaltem. Nagle przypominam sobie tę przedwojenną, mieszczącą się poniżej tego pagórka, nad samym brzegiem Sanu, a dziś zniszczoną, nieistniejącą fabrykę mojego ojca, dawniej produkującą tysiące, wręcz miliony litrów asfaltu.



Ta „moja” biedna brama... Do dzisiaj widzę ją jako cierpiącą, samotną, starą postać oraz jako niepoznany i niedoceniany wielki przemyski zabytek. Przez swoją starość i „straconą rachubę myśli” ona się zapada w ziemię. Nawet nie mamy co szukać jakiegokolwiek podparcia czy zabezpieczenia, przykrycia albo tablicy informującej o jej niezwykłej „osobie”, losie i historii. Na razie, przynajmniej jeszcze rośnie trawa pod jej „nogami” i w ten sposób dotrzymuje jej towarzystwa.

Jej wnętrze jest zeszpecone przez „graffiti”. Przypuszczam, że ta „sztuka” została stworzona przez młodzież, która dzisiaj przeważnie poszukuje zabawy i przyjemności nad brzegami Sanu. Jej tragedia także „koloruje”- wpływa na moje samopoczucie, w ten piękny, słoneczny, letnio-jesienny poranek.

Tymczasem, przewodnik oraz moja daleka „amerykańska” kuzynka ze swoją „australijską” córką i pięcioletnią wnuczką pozostali w samochodzie. Nie były one zainteresowane ani poruszone do takiego stopnia jak ja. Możliwe, że po prostu broniły się przed świadomością tych różnych tragedii, które tutaj się rozgrywały – ostatnia niecałe 80 lat temu.

A ja dalej samotnie „strzelałam” moje zdjęcia, coraz bardziej wzruszona tym co widziałam przez oko mojego aparatu. A co widziałam ?



Po drugiej stronie ulicy Rakoczego znajdują się, także zniszczone ale żyjące budynki starego żydowskiego szpitala. Są zeszpecone przez czas i ludzkie zaniedbanie, ale powoli przywracane do

życia przez obecnych użytkowników, dzisiejszych mieszkańców Przemyśla. Tam gdzie kiedyś znajdowały się sale operacyjne i gdzie leżeli chorzy albo ranni pacjenci, dzisiaj mieści się "Wspólnota Mieszkaniowa - Rakoczego 11".



W międzyczasie dowiedziałam się, że ten szpitalny kompleks został kiedyś sprzedany przez narodową żydowską organizację, zajmującą się opieką nad publicznymi żydowskimi posiadłościami, zarządowi miasta Przemyśla. Miasto zaś sprzedało posiadłość "Wspólnocie Mieszkaniowej Rakoczego 11". Choć obejrzenie tego dawnego kompleksu szpitalnego, znając jego historię i tragiczny koniec (jako szpitala) było dla mnie bolesne, to sam fakt, że on w ten sposób wraca do życia dał mi także spokój i nadzieję. Pragnę tylko, aby w przyszłości miasto Przemyśl umieściło na jego głównej bramie tablicę informującą tych, którzy się tam znajdują, czym to miejsce było i jaka jest jego historia.

A historia ta zaczyna się już w 1595 roku. Wtedy m.in. znajdował się tutaj przytułek dla ubogich, który prawdopodobnie został zamknięty w 1772 roku. Następne wzmianki o tym miejscu pochodzą z 1842 roku i dotyczą pomocy finansowej udzielanej mieszczącemu się tu szpitalowi przez Żydowską Gminę Wyznaniową. W 1872 r. szpital został zreorganizowany, a w 1904 r. rozbudowany. Pracowali w nim lekarze polscy i żydowscy udzielając pomoc wszystkim mieszkańcom Przemyśla. Podczas pierwszej wojny światowej w jego budynkach zlokalizowane były różne szpitale wojskowe i epidemiczne. W okresie międzywojennym szpital nadal służył ludności żydowskiej. Po wyzwoleniu Przemyśla spod okupacji niemieckiej szpital przestał istnieć. Dziś na naszych oczach toczy się następny rozdział jego historii.



Wchodząc przez bramę widzimy wejście do głównego budynku szpitalnego kompleksu

i różne inne

widocznie nie przeszkadzają mieszkańcom w codziennym życiu. Samo podwórko jest wyścielone różnymi kamieniami, kamyczkami, brukiem, kocimi łbami i gruzem. Na pewno w przyszłości brama, podwórko i wejście do głównego budynku zostaną uporządkowane i przywrócone do dawnego stanu tego historycznego zabytku.



Jeszcze dzisiaj widać po prawej stronie wejścia oryginalną, ale już dawno nie funkcjonującą lampę Art Deco, które spotyka się także w innych miejscach Przemyśla. Na ścianie i nad drzwiami przeprowadzone są białe linie, kryjące elektryczne druty, które kierują spojrzenie do nowej, boleśnie nie pasującej w stylu do oryginalnego budynku, przemysłowej szklanej lampy.



Ponieważ drzwi głównego wejścia były otwarte, odważyłam się na postawienie kilku kroków do samego wnętrza. Podłoga w holu składa się z oryginalnych kafelek, popękanych ale pięknych i żywych w ich dynamicznym układzie. Ściany czekają na pomalowanie, ale także widzi się że pewne prace już są wykonane (wymiana przewodów elektrycznych?).



Jednak najbardziej wzruszający dla mnie, znającej żydowską religię i jej obyczaje, jest pozostały ślad „mezuzy”, znajdujący się na prawej, wewnętrznej stronie futryny wejściowych drzwi. Nie jest ważne że kolor drzwi jest już dzisiaj spełźnięty. Ważne jest, że ślady tej już nieobecnej „mezuzy” nie kłamią i dalej grają rolę cichego świadka żydowskiej historii tego budynku.

„Mezuzah”, to niewielki pojemniczek, kryjący w swoim wnętrzu zwitek pergaminowy, tak zwany „klaf”, na którym zapisany jest krótki fragment z Tory. Mezuzah jest zawsze umocowana skośnie, po prawej stronie framugi drzwi. W ostatnich latach, na przemysłowych domach i budynkach, odnaleziono więcej śladów po zawieszonych tam niegdyś mezuzah. Podczas wychodzenia i wchodzenia do każdego „żydowskiego pomieszczenia”, prywatnego domu czy organizacji, mezuzahy do dzisiaj przypominają biblijny rozkaz przekazywania świadomości i wiary żydowskiej następnym pokoleniom.



Te ostatnie zdjęcia, które zrobiłam na ul. Rakocznego, pomogły mi powrócić do teraźniejszego czasu. Były to zdjęcia natury - ostatnich jesiennych kasztanów wiszących nade mną. To bardzo surrealistyczne owoce.

Tymczasem moja rodzina i nasz przewodnik dalej cierpliwie czekali w samochodzie, ale już bardzo chętni i gotowi pożegnać się z tym, dla nas wszystkich, smutnym miejscem. Naturalnie wpływał na to także nasz zdrowy apetyt i ten wspaniały obiad w eleganckiej restauracji po drugiej stronie miasta, na Zasaniu, który obiecaliśmy sobie jako nagrodę po tym poważnym poranku.



W Dynowie, już znowu sama, spędziłam żydowski Nowy Rok i Shabbat, od dwudziestego do dwudziestego trzeciego września. Znajduje się tam Centrum Historii Polskich Żydów, które powstało dzięki wielkiemu wysiłkowi młodego Rabina z Izraela - Pinchasa Pompa. W ramach Centrum funkcjonują: synagoga, mykwa, kuchnia koszerna i hotel dla pielgrzymów.



Te ostatnie zdjęcia symbolizują dla mnie połączenie między czasem przeszłym i teraźniejszym. Ten futrzany kapelusz, tak zwany „stroimel”, pochodzi historycznie od kostiumów bogatej średniowiecznej Polskiej szlachty. Zaś leżące obok szale modlitewne były już opisane w naszej Biblii, w Starym Testamencie. Ubierają się w nie do modlitwy wszyscy wierzący dorośli Żydzi począwszy od trzynastego roku życia. Dawniej w całej Polsce nosiły je tysiące pobożnych Żydów.



Dzisiaj, tam w Dynowie, Ortodoksyjni Żydzi znajdują miejsce gdzie ich tryb życia, kultura, zwyczaje i religia znowu zaczynają istnieć, niejako przywrócone zza grobu. To Centrum nie jest otwarte codzienne, jednak najważniejsze żydowskie święta i niektóre Shabbat są obchodzone. Nocleg jest zapewniony, rytuały istnieją, kuchnia jest prowadzona według koszernych, mających tysiące lat przepisów. Ci którzy podróżują po Polsce i Galicji, odwiedzając słynne w żydowskiej pamięci miasta - miasta w których przez setki lat tryb życia toczył się według żydowskiego kalendarza, gdzie słynni nauczyciele, wielcy mędrcy, święci Rabin, i wielkie rodziny żyły żeby oddawać honor i pokazać swoją miłość do jedynego Boga, stwórcy świata - znajdują swój spirytualny dom w Dynowie. Dzisiaj ci, którzy się znajdują w Galicji, którzy pielgrzymując z miasteczka do miasteczka, do grobów dla nich świętych Rabinów i odwiedzając miejsca, z których pochodzą ich przodkowie, mogą się przez moment znaleźć w takim miejscu, gdzie ich tradycja dalej istnieje i żyje. Znając wielowiekową historię Żydów w Polsce i Galicji, mój pobyt w Dynowie był dla mnie wielkim i cudownym przeżyciem. Na własne oczy widziałam, jak na prochach II wojny światowej, odradza się możliwość dotknięcia i przeżycia czegoś wiecznego.

Obejrzeliliśmy razem kilkanaście zdjęć, a teraz moja puszka Pandory się zamyka.

Jak dalej przeminęła moja osobista pielgrzymka do Przemyśla? W październiku byłam już tak głęboko zanurzona w jego historii, że czułam iż w niej tonę. Powolnie niosłam na swoich barkach coraz cięższy balast, a samotność, z powodu braku bliskich mi osób, z którymi mogłabym się dzielić moimi najgłębszymi uczuciami, mnie przygnębiała. To polskie, urodzone w Krakowie dziecko, które przeżyło dwie emigracje, teraz już szanowna siedemdziesięcioletnia Pani, powróciło do Holandii. Te wszystkie historyczne warstwy które noszę w sobie, z których się składam, potrzebują spokoju żeby je głębiej poznać, zrozumieć i uporządkować tak, by je przekształcić na nowe prace.

Dla artysty te pamiątki, wspomnienia, wizje i myśli są pokarmem do tworzenia nowych "realności" i do dzielenia się nimi z innymi ludźmi i ubogacania ich realności swoimi.

Nadchodzi już czas na rozpakowanie moich Przemyskich skarbów. Wiem, że czuję się, po tym ostatnim pobycie, jeszcze bardziej przywiązana do tego pięknego i dla mnie bogatego miasta, i zobligowana do przekazania, w jakiegokolwiek formie, jego znaczenia dla mnie.

COPYRIGHT MvBC012018

COPYRIGHT AB012018